

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Do powieści „Przygody Królewicza Edwarda.”



Królewicz Edward wstrzymuje koronację Toma Cantego w opactwie Westminsterskiem.

WAKACYE W WARSZAWIE.

POGADANKI O ARCHITEKTURZE
przez

Waleryę Marrené - Morzkowską

(Dalszy ciąg).

Pan Jaczyński spojrzał na syna z widocznym zadowoleniem.

— Widzę z tego, — wyrzekł — że nasze wędrówki po mieście nie były daremne, skoro zadałeś mi tak słuszne pytanie. Tak jest, kościół św. Anny fundowany był jeszcze w połowie XV-go wieku przez Annę księżną mazowiecką. Wprawdzie, jak wam mówiłem, nie były to już średnie wieki, ale w wielu miejscach trzymano się dawnych form budowlanych i dzwonnice stawiano osobno.

— To ten kościół jest tak stary, jak kościół Panny Maryi? — spytała Halinka — a jest przecież zupełnie odmienny.

— Przyjrzymy mu się jutro — rzekł pan Jaczyński — bo dzisiaj już późno; i tak nie straciliśmy dzisiejszego poranka.

XIII.

— Dzisiaj pewno zwiedzać będziemy kościoły i gmachy w Krakowskim Przedmieściu — odezwał się Tadzio, gdy przygotowywali się do wyjścia.

— Naturalnie — odparła siostra.

— Ja się domyśliłem.

— Wcaleś się nie domyślił, bo przecież ojciec to wczoraj zapowiedział. Prawda, Maryniu?

— To i cóż — dowodził Tadzio — zawsze wiemy, w którą stronę pójdziemy.

— Ja to zawsze z góry wiedziałam — powiedziała Halinka, śmiejąc się figlarnie.

— Już ja nie pojmuję, jakim sposobem zawsze wszystko umiesz odgadnąć.

— No, czyście wszyscy gotowi? — zapytał pan Jaczyński.

Poszli prosto Nowo-Miodową ulicą przed kościół św. Anny.

Dzieci przyglądały się najprzód wieży, ale przy odnawianiu utraciła ona swój charakter, a szczególnie belweder, ustawiony na szczycie, nie odpowiada całości.

— Ale kościół, to mi się podoba — zawyrokowała po długiej chwili Halinka. — Fasada ma takie wspaniałe kolumny.

— A jakie? — spytał Tadzio.

— Korynckie, naturalnie, tylko nad belkowaniem wznosi się jeszcze mur i nad przyczółkiem znowu jakieś mury. Ojciec, jaki to styl?

— Jak ci się zdaje?

— Niby odrodzenie. Nieprawdaż?

— Masz słusność. Jest to odrodzenie z przymieszką baroku, jak większa część warszawskich kościołów. W każdym razie ta fasada jest jedną z piękniejszych, jakie posiadamy. Wykonał ją budowniczy Piotr Aigner na wzór słynnego kościoła św. Jerzego w Wenecyi. Ma prostotę i szlachetne linie. Prawda, że tu niema żadnego śladu dawnej budowli. Gdyby nie ta dzwonnica, możnaby sądzić, że to niedawno wystawiony kościół.

— A tu, wuju? — spytała Marynia. — Co to za ładny ginach z takimi wielkimi oknami, zakończonemi kolistą?

— To Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Przypatrzcie mu się.

— Proszę ojca, tu są między oknami jońskie kolumny.

— Ta galeria w czystym stylu odrodzenia, miała różne przeznaczenia. Przez czas jakiś mieściła się tutaj Wystawa Towarzystwa Zachęty Sztuki, potem sale rysunkowe.

— Co to znaczy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa? — spytała Halinka — ja zawsze myślałam, że Muzeum to galeria obrazów lub rzeźb.

— Dlaczego?

— No, bo Muzeum — muzy, nazwa ta musi od nich pochodzić.

— Masz słusność, ale muzy opiekowały się nie tylko sztuką ale także naukami.

— Prawda, ale ja dobrze nie rozumiem, co znaczy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.

— Jest to instytucja niedawna i bardzo pożyteczna. Powstała staraniem i kosztem ludzi, którzy pragnęli, ażeby w kraju rozwinął się przemysł i podniosło rolnictwo. Głównie do powstania Muzeum przyczynił się hr. Ludwik Krasiński.

Zgromadzono tu okazy różnych ulepszonych wyrobów, modele i rysunki pięknych sprzętów i różnych przedmiotów z drzewa, metalu, skóry, próbki materii, obić i tego wszystkiego, co ma związek z przemysłem, ażeby za ich pomocą kształcić smak rękodzielników, tak iżby nasze wyroby mogły dorównywać zagranicznym, a nawet przewyższyły je z czasem.

— Mnie to zawsze gniewa — zawołała Halinka — gdy w sklepach, zachwalając jakiś towar, mówią: to rzecz zagraniczna, to pochodzi z Wiednia, Paryża, Londynu, i już nie wiem z jakiego kraju. Ja wołałabym mieć rzeczy swoje.

— Tak właśnie myśleli założyciele Muzeum i starali się o to. Ale same wzory tu zgromadzone i ciągle powiększane, choćby najpiękniejsze i dla każdego dostępne, bo bezpłatnie oglądać je można, nie wystarczają do podniesienia przemysłu. Są tu więc szkoły rysunkowe dla rzemieślników, a przytem Muzeum urządza co pewien czas wystawy, na których każdy ma sposobność porównać swoje wyroby z wyrobami innych.

— Ale cóż to ma do rolnictwa?

— Są także wystawy nasion i wystawy rolnicze, urządzone w innem miejscu staraniem Muzeum. Tam można widzieć piękne konie, bydło, owce, nierogaciznę, drób i wszystkie przedmioty, jakie gospodarstwo wiejskie wytwarza. Jest tak zwana stacya doświadczalna, w której probują dobroci ziarn, używanych do zasiewów, laboratorium chemiczne, w którym rozkładają na pierwiastki ziemie, wody, nawozy sztuczne, ażeby poznać, jakich gdzie dodać należy. Jest stacya meteorologiczna.

— Taka, jaką miał ten Magier, którego dom pokazywał nam ojciec na Piwnej ulicy?

— Daleko lepsza, bo meteorologia, jak wszystkie nauki, rozwinęła się ogromnie, nie można nawet porównać tego, czem była dawniej z tem, czem jest dzisiaj. Nie wszyscy w kraju zdają sobie sprawę z ogromnego znaczenia tego Muzeum, ale doniosłość jego chociaż powoli, pokazuje się w skutkach, a temi są ciągle ulepszenia naszych wyrobów.

— Oj to! to! — zawołała Halinka. — Mama zawsze kupuje rzeczy krajowe. I ja tak będę robiła.

— Bo inaczej jakżeby się mógł nasz przemysł utrzymać i udoskonalić, gdybyśmy go sami nie popierali — odparł ojciec.

— Gdy byłam w Krynicy — odezwała się Marynia — widziałam pełno drobiazgów ze śmiesznym francuskim napisem: „Souvenir de Krynica.” Mama ich kupować nie chciała, ale wiele osób na to nie zważało.

— To źle — odezwał się Tadzio — powinniśmy pilnować się w każdej rzeczy. Mamy w Zakopanem takie śliczne rzeźby z drzewa, takie oryginalne wyroby z gliny w Kołomyi, że wcale nie potrzebujemy cudzych.

— A gdzież ty je widziałeś? — zawołała Marynia — w Warszawie ich nie dostanie.

— Przecież twoja mama przywiozła mojej pięknie rzeźbioną półeczkę i ojcu wazon do kwiatów, a jeszcze

babci taki śliczny kołnier, z zakopańskiej koronczarskiej szkoły. Aż miło patrzeć, że to wszystko u nas robione.

— Otóż założyciele Muzeum powodowani byli tem samem uczuciem, co ty, Tadius. Pragnęli, ażeby nietylko nasze wyroby nie ustępowały obcym, ale żeby miały cechy własne. Chodziło im nie o same już obce napisy, ale o to, byśmy i bez napisu mogli poznać, co jest wyrobem krajowym po rysunku i ozdobach poczerpniętych ze swojskich przedmiotów.

(d. c. n.)

POTĘPIONY.

Nie sądz skwapliwie po samym kwiecie,
O całej już roślinie.

Jej główna wartość w owocach leży,
Tak jak człowieka — w czynie.

Więc zanim wszystkich nie poznasz czynów,
Nie sądz bliźniego swego,

I nie potępiaj nigdy, bo nigdy
Nie zgłębisz duży jego.

(Z Dobrych rad. I. B.)

Stefan Borecki nie był ogólnie lubiany przez kolegów. Od czterech już lat chodził do szkół, uczył się dobrze, bo co rok przechodził z klasy do klasy, nie narażał się nikomu, kłótni unikał, zwądnionych starał się godzić, a jednak, nikt chyba w życiu nie miał tyle przezworków ile on. Co tydzień niemal przybywała mu jakaś nazwa, a gdy ją posłyszał, podnosił wzrok od książki, i pytał ze smutnym uśmiechem na bladych ustach:

— A to kto znów wymyślił?

Koledzy wybuchali wesołym śmiechem.

— A cóż cię to obchodzi, kto cię nazwał „Sknerskim.” Jesteś skąpy i basta!

— Chciałbym jednak wiedzieć, komu to mam zawdzięczać.

— Ach! idzie ci o wdzięczność? W takim razie nie należy robić tajemnicy, musisz ją jednak dziś rozciągnąć na całą klasę, bo to właśnie trzecia tak cię nazwała.

Stefan zamyślił się! Podparł głowę na rękę i uleciał myślą gdzieś poza ściany szkolnego pokoju, poza mury wysoko sterczących domów: — w krainę wspomnień.

Gdy był w pierwszej klasie nazywano go brzydalem i wiewiórką. Ślusznie, gdyż rzeczywiście był brzydki. Oczy małe, szare, ręce i nogi zbyt długie, cała postać niezgrabna. Głowę dużą pokrywał włos ryżawy, twardy, szorstki, nieposłuszny, a stojący zawsze dębem, mimo częstego używania szczotki,

Później oswojono się z jego powierzchownością, ale zwrócono uwagę na cechy charakteru. Nie lubił zabaw hałaśliwych, krzyków, trzepania językiem jak wiatrakiem, więc został mrukiem. Wolne chwile poświęcał czytaniu, więc znów nazwano go molem.

A inne przydomki, takie okolicznościowe, które swawolnie i wesołe koledzy zmieniali z godną podziwu wprawą i humorem, któżby je zliczył?

On sam, uśmieiał się z nich nieraz serdecznie!

Nie dosięgały widać do serca chłopaka, nie raniły jego duszy i nie siały tam goryczy i niechęci. Lubiał, a nawet może kochał tę swawolną, krzykliwą rzeszę, kręcącą się koło niego i naprzykrzającą mu się nieraz jak natrętne muchy; może nawet żałował w głębi duszy, że nie był takim, jak inni, cóż jednak miał robić? nie mógł się zmienić.

W ciągłej pracy nad samym sobą, nad łaciną i gre-

ką, które nie przychodziły mu łatwo, zeszły mu całe cztery lata. Czas nie wpływał na zmianę usposobień dla niego. Dziecinne drwinki zamieniono na przytyki; nazwy brzydala, mola, mruka, — zastąpiono dzikusiem, nieużytkiem, sknerą, żarłokiem...

Czy był tem wszystkim naraz?

Każdy z kolegów z ręką na sercu gotów był na to przysiąc, bo czyż nie dawał powodów? Po wakacjach lub świętach zjeżdżali się wszyscy, z dobrze wypakowanymi kuframi. Wyjmowano zapasy, urządzano wspólne uczty.

A czego tam nie było na tych poświętnych przyjęciach? I placki i mazurki, chleb wiejski, masło, suszone owoce i konfitury.

— No, a ty, Borecki, nic nie wyjmiesz ze swego kosa? dawaj co masz, bo inaczej zamek oderwiemy i pręciwą postawimy na swoim.

Na twarz Stefana występowały wtedy czerwone rumieńce.

— O, patrzcie! patrzcie! wołali, jak się czerwieni z obawy, abyśmy mu rzeczywiście nie zabrali jego zapasów, — Nie, nie, bądź spokojny, skąpcze, zjedz sam, nie pragniemy twojego, ale też naszego nie skosztujesz.

I zasiadali do uczty, a Stefan usiłował się tłumaczyć.

— Moi drodzy, ja wcale nie pragnę waszego poczęstunku, bo nie jestem głodny; macie tak dużo przysmaków, więc pocóż...

— Ależ naturalnie, — przerywali mu chórem, — bez ciebie i bez twojej pieczeni obejdzie się. Z takim, jak ty, najlepiej z daleka.

Obchodzili się rzeczywiście; przy stole bywał śmiech, żarty, koncepty, w których Stefan nie brał udziału, lecz wodził po nich wzrokiem i dziwił się w duchu, jak można tak dużo jeść i tyle marnować, bo chłopcy rzeczywiście kroili wszystkiego duże kawałki, zostawiali połowę, kruszyli ciasto, rzucali na siebie skórkami chleba, kawałkami pomarańczy i jabłek.

Po takich Lukullusowych przyjęciach młodzież rozchodziła się, pozostawiając resztki, a tej chwili Stefan wycekiwał widocznie!

— Czy to dla służby te resztki pytał?

— Nie, odpowiadali!

— A zatem nie macie nic przeciwko temu, abym je zabrał?

— O bynajmniej, niech ci służą! Życzymy dobrego apetytu!

Stefan uśmiechał się z zadowolenia, nie zjadał ich jednak, przynosił dużą papierową torbę, i skrzętnie zbierał w nią kawałki ciasta, chleba, szynki i mięsa. Chował to następnie do swego kuferka, a koledzy utrzymywali, że obrzydliwy ten skąpiec, zjadał to wszystko w nocy, gdy inni spali, choć żaden może nie widział tego, a tylko się domyślał.

— Brzydki, wstrętny charakter, — mówili pomiędzy sobą, — co za brak godności, co za czelność; doprawdy, że wstyd tylko przynosi naszej klasie!

— Rzeczywiście, — mówili inni, niedługo dojdzie do tego, że mu żaden z nas ręki nie poda.

Ta nieprzychylność wzrastała z dniem każdym, a okoliczności tak się składały, że istotnie, Stefan wobec kolegów nigdy nie starał się bronić, więc wnioskowano, że się czynów swoich nie wstydzi i nie chce poprawić.

Jego twarz, nie wyrażała z tego powodu ani smutku, ani cierpienia. Zajęty naukami, mało miał nawet czasu, na spostrzeżenia; dawał kilka korepetycji, więc wolnych chwil miał niewiele, a i te, które mu pozostawały, spędzał zawsze poza domem.

To także wzbudzało między kolegami ogromne oburzenie.

— Chodzi gdzieś, niewiadomo gdzie, pewnie znalazł towarzystwo godne siebie!

Czy uważaliście, dodawał znów inny, jakie on oczy miewa czerwone, gdy powraca, czasami tak wygląda, jakby płakał?



Pies morski i pies lądowy (str. 360).

— Och! mój drogi, to prędzej od dymu tytoniowego, w którym pewnie przebywa, ja to także od dawna zauważyłem, tylko nie lubię mówić o Boreckim... i machnął ręką.

Zajmowano się nim rzeczywiście coraz mniej, przez pogardę, a on tymczasem wciąż robił swoje. Zbierał resztki chleba i bułek w papierowe torby, wykręcał się zawsze od wspólnych przyjemności, gdy mu je z drwinami proponowano i znikał codziennie na parę godzin. Jeśli do zupełnego potępienia brakło jeszcze pewnych danych, to i te z czasem znalazły się, jakby na zamówienie.

II.

W życiu ucznia, tak jak w ogóle w życiu wszystkich ludzi, zdarzają się wypadki, które wstrząsają do głębi i powodują wezbranie pięknych uczuć, wywołujące szlachetne czyny. Taki wypadek właśnie się zdarzył!

Koleczy robili składkę między sobą na książki dla kolegi, który zostawiwszy tornister na ławce w alejach, pobiegł do sklepu kupić piłkę. Ktoś niestety skorzystał ze sposobności i ukradł tornister, a chłopiec zmartwiony, obawiając się kary od rodziców, odwołał się do pomocy kolegów.

Naturalnie, że mu jej nie odmówili! Każdy co mógł, ofiarował, aby tylko kolegę uchronić od przykrości, jeden Stefan inaczej zapatrywał się na tę sprawę.

— Według mego zdania, Tadzio powinien wszystko rodzicom powiedzieć i przeprosić ich za swą nieopatrność, ręczę, że mu to wybaczą. Składka w takich razach...

Nie pozwolono mu dokończyć.

— Jest złem, które ty z góry potępiasz, przecież nie uznajesz za potrzebne nieść pomocy drugim. Naturalnie, daleko wygodniej zamknąć swój worek na dziesięć zamków, każdy sknera tak radzi!

Stefan uśmiechnął się.

— Ej nie, tylko widzieć, poco wydawać pieniądze, kiedy można inaczej zaradzić.

(d. c. n.)

Moja kuzynka Stasia.

— Nie, moi państwo! widziałem wiele w życiu, rozmaitych sposobów uczenia się, ale, jakem Wieczór Rodzinny, nie widziałem nikogo, ktoby się uczył tak, jak moja kuzynka Stasia! Znam takich, co muszą biegać z kąta w kąt z książką w ręku, niby tygrysy w klatce, z zarumienioną twarzą, potracając o meble i sprzęty.

Znam innych znowu, co siedzą nieruchomo, jak posągi, ścisnąwszy uszy pięściami i mrucząc głucho, niby gniewne niedźwiedzie. Wiem, że dla jednych niezbędna jest cisza pustyni podbiegunowych, bo skarżą się na lada szmer, na najcichsze chrząknięcie sąsiada, innym zaś najlepiej byłoby uczyć się na pokładzie kołatanego wichrami statku, lub w bliskości czterdziestu pięciu trębaczy. probujących swych szlachetnych instrumentów. Ale to wszystko nic w obec mojej kuzynki Stasi!

Ja, proszę państwa, pojmuję doskonale, że—wyrażając się ściśle, wchłanianie i utrwalanie w pamięci wszelakich mądrości, nie jest rzeczą tak łatwą i gładką, jak ślizganie się na przykład, albo spożywanie czekoladek pralinowych. Więc usprawiedliwiam i tłumaczę różnego rodzaju pozy, gesty i ruchy, nawet takie, jak kręcenie trzeciego od dołu guzika przy mundurze, lub gryzienie ołówka, skoro to ma pomagać do skupienia uwagi i ułatwiać naukę. Ale wszystko ko ma swoje granice!

Aleksander Wielki, kiedy był jeszcze królewiczem Macedońskim, uczył się podobno, trzymając srebrną kulę nad złotą miednicą, czy też złotą kulę nad srebrną miednicą, a przecież profesor jego pan Arystoteles, najmędrszy z ludzi, nic przeciwko temu nie miał! Demostenes układał swoje mowy, przechadzając się wielkimi krokami po morskim wybrzeżu z kamykiem w ustach.

Prawda, że zdaniem jego przeciwników, był to pewnie nie kamyk, lecz pomadka z jakiejś trzeciorzędnej cukierni ateńskiej, ale zawsze Demostenes był kapitalnym mówcą.

Po co jednak sięgać tak daleko? Mój przyjaciel Edzio, ten z piątej, uczy się doskonale i wszystko umie

ekspedyte, a przecie zawsze odrabia lekcye, siedząc na krześle, którego jedna tylko noga, tylna prawa, dotyka podłogi. Powiada, że po czterech nogach krzesła uwaga i pamięć zbyt gwałtownie spływają do ziemi, jak prąd elektryczny. Pewnego razu, dzięki takiemu usadowieniu się, Edzio przedstawił metodą poglądową straszne skutki trzęsienia ziemi, połączonego z wybuchem wulkanu. Wyobraźcie sobie, że owa ulubiona noga wymówiła mu posłuszeństwo, następstwa tego były przerażające. Stół wyleciał w powietrze, lampa rozbiła się w drobne kawałki, a Edzio leżał wśród tego wszystkiego na podłodze, jak Maryusz na gruzach Kartaginy. Dzięki przytomności umysłu mówiącego te słowa, płonąca nafta została w porę zagaszona, ale Edzio pomimo to wszystkie lekcye umiał!

A panna Helena, koleżanka mojej siostry. Tę zaliczam do rzędu nie siedzących, lecz przysiadających, bo jak ptaszek na gałązce, przysiadła zwykle na krawędzi stołu, komody albo okna, przytem, jeśli się uczy wierszy, to wybija nóżką rytym: Taf-taf-taf! Taf-taf-taf! Rozumiecie! To bardzo ułatwia zapamiętanie poezyi. Raz, powtarzając jakiś wiersz ognisty, tak się rozbujała, że o włos nie wyleciała przez otwarte okno. No, nic strasznego, bo nie z trzeciego lub drugiego, tylko z pierwszego piętra... Ale za to jak deklamuje! Niczem Modrzejewska, całe poematy umie na pamięć.

Przyznacie mi więc, kochani państwo, że jestem nadzwyczaj wyrozumiały i nie potępiam żadnych przyzwyczajęń ani narowów przy uczeniu się, choć je uważam nieraz za dziwne i niekoniecznie godne naśladowania. Ale ze sposobem uczenia się mojej kuzynki Stasi pogodzić się nie mogę żadną miarą.

Poznałem go na wsi, bo moja kuzynka przebywa jeszcze na wsi. Przyjechałem do nich już wolny, na wakacje, ale trafiłem właśnie, że Stasia przechodziła generalne powtarzanie całorocznego kursu. Miał się tam odbyć jakiś prywatnie — domowy egzamin. Nie straszne bywają te

egzamina, ale moja kuzynka Stasia, zdolna i ambitna osoba, pracowała zawzięcie.

Raz, chcąc ją namówić na dłuższy spacer, wszedłem niespodzianie do tak zwanej klasy i... osłupiałem. Na posadzce leżała moja kuzynka Stasia z główką pochyloną nad jakąś książeczką, a przy niej z łbem także pochylonym nad książką jej pies, Dyanka. Kuzynka Stasia zerwała się na równe nogi, niezadowolona.

— Co robisz?

— Uczę się historii powszechnej.

— Leżąc na podłodze?

— Ja zawsze tak się uczę, kiedy mam wiele roboty, bo mi tak łatwiej przychodzi. Ale co ci do tego?

— A Dyanka?

— Dyanka mi pomaga. Ale co ci do tego, jak ja się uczę?

— Moja kochana Stasiu! powiadam do niej, bo ja zawsze staram się przemawiać do panienek z wyszukaną grzecznością. — Moja kochana Stasiu, zastanów się, czyż słyszano kiedy, aby ktoś uczył się historii powszechnej, rozciągnięty na ziemi, w towarzystwie psa; w czym ci on może pomódz? Ja widzisz, znam wiele sposobów uczenia się. — Tu opowiedziałem jej o Aleksandrze Macedońskim i o Demostenesie i o moim przyjacielu Edziu i o pannie Helenie, co to przysiadła, jak ptaszek. Ale kuzynka Stasia wysłuchała mię cierpliwie, a potem rzecze:

— Już ja inaczej uczyć się nie mogę, a przecie najważniejsze, ażebym umiała:

— Ależ, moja Stasiu, wszystko ma swoje granice. Dobrze jeszcze póki uczysz się sama, na wsi. Pomyśl jednak, że po wakacjach pojedziesz na pensję. Cóż wtedy będzie? Wątpię, żeby którakolwiek przełożona pozwoliła swym pensyonarkom w ten sposób odrabiać lekcye. A Dyanka? Któż się zgodzi to skądinąd bardzo miłe stworzenie trzymać na pensyi? Jeżeli nie chcesz przyzwyczaić się uczyć inaczej to, wierz mi, czeka cię straszna



Moja kuzynka Stasia przy nauce.

kompromitacya! Stasiu, zastanów się, zastanów!.. Ale moja kuzynka zawzięła się, jak to umieją panienki, i powiedziała mi nawet parę ostrych słówek.

— Poczekaj! — pomyślałem sobie — ja przemawiam do ciebie z dobrego serca i z wyszukaną grzecznością, a ty się o to obrażasz... Poczekaj, zrobię ja ci za to pysznego figla, jakem Wieczór Rodzinny.

Nazajutrz o tej samej porze podchodzę cicho do pokoju szkolnego z aparatem fotograficznym. Otwieram ostrożnie drzwi... i spoglądam — wybornie! Panienka uczy się znów jak wczoraj... Pstryk! pstryk! i... odfotografowałem kuzynkę Stasię z Dyanką tak, jak ją tu widziałem! Nie chciałaś mnie słuchać, to niech cię zobaczą czytelnicy „Wieczorów.” Co oni powiedzą na to, czy pochwalą twój sposób uczenia się, czy nie? A zwracam się nie do czytelników, bo ci, jestem przekonany, staną za mną jak jeden mąż, ale do czytelniczek, zwłaszcza do korespondentek Jaskółki.

Tak, tak, moja kuzynko Stasiu, niech nas rozszadzą: Trzy Rączki z Siedlisk, Łochoźwianka, Rybitwa z nad Wisły, i Boa z Przyłuk, i Wieszcza, i Rusałka, i Zielona Żabka, i poważna Córa Mazurów, i Lilijka z Chmielnej, i Topolka z Krasnego, i wszystkie inne szanowne czytelniczki nasze, na których sąd oddaję tę sprawę.

Wieczór Rodzinny.

Dzienniczek Wąndzi.

(Dalszy ciąg).

— Rzeczywiście nie jesteśmy Angielkami, ale i ksiądz także na Anglika nie wygląda — może Francuz.

— O non madame — zaprzeczył ksiądz po francusku — ja jestem Polakiem!

Aż krzyknęłyśmy z mamusią na te słowa.

— To ksiądz dobrodzieju Polak!

Teraz na księdza przyszła kolej zdumienia. Stał z kluczem w rękę, oniemiały, z uśmiechem na ustach i łzach na rękach.

„Zaczęła się ta prędką, mięszana rozmowa, W której lat kilku dzieje chciano zamknąć w słowa Krótkie i popłatane, w ciąg powieści, pytań, Wykrzykników i westchnień i nowych zapytań. Gdy się pan Wojski dosyć napytał, nabał, Na samym końcu dzieje tego dnia powiadał.”

Tak samo było i z naszym księdzem. Zasypywał nas pytaniami, zkąd się tu bierzemy, co nas tak daleko sprowadza, jaką miałyśmy podróż, z jakiej jesteśmy dzielnicy, i t. d. bez końca, bez końca. Potem zaczął trochę opowiadać o sobie. Pochodzi z Górnego Szląska, z pod Bytomia i nazywa się P. K.

Jakżesz było nam miło rozmawiać po polsku! Mieśliśmy wszyscy troje łzy w oczach. Od czasu odjazdu ojca, tak mało jesteśmy z mamusią same, a tylko wtedy mówimy po polsku. Chociaż pani Péllacot nie raz prosi nas, abyśmy się nią nie krepowały, jednakże byłoby to niegrzecznie przy niej mówić językiem, którego ona nie rozumie.

Mamusia korzystała zaraz z wybornie nadarżającej się okazji i prosiła księdza P. nazajutrz o spowiedź św. Bardzo uprzejmie przystał na prośbę mamusi, zapraszając nas po Mszy Św. do siebie na śniadanie. Prawdziwie polski ksiądz.

— Ta polska gościnność, której wzorem była Rzepicha, mówiła potem w hotelu mamusia, przetrwała nawet takie burze, jakie zagnały aż tutaj, podobnego samotnika, jakim jest ksiądz P.

Zacny ten kapłan opowiadał nam jeszcze, że w mieście jest kilku Polaków, ale niestety nie zbyt z nich gorliwe owieczki, co bardzo martwi biedaka. Wśród wojsk niemieckich przyjeżdżających do Chin, widział dużo Polaków; niektórzy z nich byli u niego u spowiedzi, aby zacerpnąć odwagi na trudy wojenne i ciężkie mozolne przejścia, jakie ich czekały.

Nie chcąc dłużej zatrzymywać księdza, a także i panią Péllacot, siedzącą opodal w ławce, aby nam nie przeszkadzać w rozmowie, pożegnałyśmy się, obiecując przyjść nazajutrz rano.

Jeanne, trzymając się nas i przysłuchując się naszej rozmowie, zadała mi przy wyjściu wiele pytań, a przede wszystkim, czy ten *Monsieur le curé* jest jakim naszym krewnym.

— *J'ai très bien compris*, — mówiła, *le prêtre vous a dit des mots: "żołnierze:" qui veut dire: soldats et "Polacy" qui signi-fie polonais.*

Rzeczywiście Jeanne robi postępy w polskim. Umie już nietylko pojedyncze wyrazy, ale nawet całe zdania. Akcent ma jednak szkaradny. Zdaje mi się, że oprócz mnie żaden z moich rodaków nie mógłby jej rozumieć.

Pani Péllacot w swej dobroci bardzo się interesuje moim dziennikiem, zdarza się nieraz, że sama mi przypomina, czy tego lub owego nie zapomniałam napisać. Jeanne zaś nieustannie prosi, abym dużo o niej pisała i jak tylko widzi, przeglądając karty mego kajetu, swoje imię, prosi zaraz, abym jej wszystko, co tam jest o niej, przetłumaczyła.

— Kto wie, kiedy się zobaczymy, zapomnisz o mnie, a dzienniczek, jeśli tam dużo o mnie będzie, przeszkodzi temu, więc pisz dużo, dużo o Jeanne.

— O nie, nie myśl Jeanne, odpowiadam jej wtedy — abym miała kiedy o tobie zapomnieć; Polacy odznaczają się wdzięczną pamięcią.

Pocziwa, kochana Jeanne! Tak mi przykro, że już za kilka tygodni rozstaniemy się z sobą; dobrze nam było razem, chociaż w smutnych okolicznościach żyłyśmy w ostatnich czasach. Ale za to te kilka miesięcy z dziecinnej Jeanne zrobiły wcale myślącą panienkę. Sama pani Péllacot mówi, że nie poznaje swej córeczki, tak bardzo się zmieniła.

Jeszcze Hong-Kong

Jutro opuszczamy „Cudowne miasto” jak Hong-Kong nazwałam. Gdyby nie myśl, że im wcześniej puścimy się w drogę, tem prędzej staniemy u celu naszej podróży, to jest przy ojcu, doprawdy z żalem żegnałabym tutejsze widoki.

U księdza P. na śniadaniu było bardzo miło. Podziwiał mamusię, że tak odważnie, sama ze mną puszcza się w tę daleką i niebezpieczną podróż, byle zadość uczynić potrzebie serca.

— A ta mała? dodał wskazując na mnie — nie przyczynia to pani kłopotu w drodze?

— O nie, przeciwnie, pomaga mi i odwagi dodaje, to moja jedyna, ukochana córeczka — odpowiedziała mamusia, ściskając mnie. — Ta mała to całe nasze szczęście, cóżbyśmy bez niej robili na świecie, księżu dobrodzieju.

Ksiądz P. z kolei opowiadał nam, jak go tu sprowadziła gorąca chęć krzewienia wiary chrześcijańskiej; jak trafiał na opornych, nieufnych, nietylko wśród Chińczyków, coby było łatwym do zrozumienia, ale i wśród białych.

Rozstając się z zacnym księdzem, prosiła go mamusia, aby zechciał nas odwiedzić dnia następnego na obiad.

Pani Péllacot przez swoją wygórowaną dyskrecję, chciała dnia tego zostać jak zwykle w sali jadalnej, i nie jeść z nami obiadu, który mamusia specjalnie dnia tego kazała podać w naszym pokoju. Ale mamusia na to nie zezwoliła i zasiedliśmy wszyscy razem przy okrągłym stoliku.

Jeanne widząc mnie całującą księdza w rękę na powitanie, cała zacerwieniona poszła za moim przykładem, a on ją z prawdziwie polską serdecznością pocałował w głowę.

— *Comment cela va?* — zapytał jej się.

— *Bardzo dobrze, dziękuję,* odpowiedziała po polsku. Nauczyłam ją wczoraj tych kilku wyrazów, które mi sobie ogromnie księdzę ujęła.

Po obiedzie poszliśmy wszyscy razem na najpiękniejszą ulicę *Queen's Road*, by zwiedzić wspaniałą katedrę *St. Jana*, a potem podziwiać wystawy magazynów. Stawałyśmy z *Jeanne* przed każdym prawie oknem, wykrzykując, pełne znaczenia *Oh! Ah!* nad wspaniałymi przedmiotami, które tam były.

Co za prześliczne hafty na olbrzymich jedwabnych szmatach, wyobrażające najrozmaitsze zwierzęta i owoady, a przeważnie smoki. Mnie najwięcej zajęły przedmioty z porcelany, przy nich zatrzymywałam się najdłużej, a ksiądz *P.* tłumaczył mi i objaśniał te dziwaczne kształty i barwy, dla nas prawdziwie tajemnicze, a oznaczające zawsze jakąś myśl i cel jakiś.

Na tej samej ulicy znajduje się pałac gubernatora, teatr i ratusz. Na wschód leży dzielnica chińska.

Po zwiedzeniu miasta, pojechaliśmy koleją na *Peak*, najwyższy szczyt na *Hong-Kongu*. Na sam jednakże wierzchołek trzeba było iść jeszcze pieszo przeszło pół godziny, ścieżkami wylanymi asfaltem, co wygląda czysto i ładnie, ale utrudnia chodzenie.

Na samej górze jest woda i elektryczność, bo wszędzie pełno domów, willi, szaletów i pałacików, a wszystko to stoi wśród ogródków pełnych kwiatów.

Pani *Péllacot* z dziećmi powróciła do domu koleją, a ja z mamusią, aby nie stracić nic z piękności widoku, schodziłyśmy pieszo, ścieżkę wskazaną nam przez księdzę *P.* zanim nas opuścił, spiesząc do swoich zajęć. Niektóre miejsca były tak strome, że trzeba było po nich biedz prosto, jak to w kraju mówią dzieci, z górki na pazurki.

Byłyśmy z mamusią tak zajęte pięknymi widokami, wskazując sobie wzajemnie to drzewa, to kwiaty, to wreszcie prześliczne wille, ukryte wśród zieleni, że nie spostrzegłyśmy wcale, jak zwyczajem podzwrotnikowym bardzo szybko zaczęło się ściemniać. Stając się już na dole, nie wiedziała mamusia, którą iść drogą, bo zbiegało się ich tu kilka, a przechodzących Chińczyków obawiała się mamusia o drogę pytać, aby z umysłu nas źle nie poinformowano. Na szczęście spotkany żołnierz angielski wybawił nas z kłopotu, naprowadzając na właściwą drogę.

W hotelu czekała nas miła niespodzianka: listy. Pani *Péllacot* powracając z przechadzki, wstąpiła na pocztę, dokąd mamusia kazała przesłać pierwsze listy, przychodzące do *Hanoi*. Późniejsze poleciła mamusia odesłać już do *Nagasaki*.

Były więc po tylu dniach nareszcie wiadomości z kraju i z Francji. Martwią się tam ogromnie wyjazdem tatusia, narzekają na tę straszną odległość.

Z *Gniezna* donoszą, że *Zygmunt* od wakacji, duży kawaler, chodzi do gimnazjum, a nawet z niemieckiego jest pierwszy. Na prześlicznej karcie z widokiem *Hong-Kongu*, posłała mu mamusia powinszowanie tego powodzenia w naukach.

Z *La Barre* także dobre wieści, ciocia *Kostunia* donosi: „Moje chłopaki miały bajeczne powodzenie przy rozdawaniu nagród. Osobny pociąg dla rodziców i gości wyszedł z *Paryża* do *Juilly* tego dnia. W ogromnej teatralnej sali zebrali się wszyscy przyjezdni; na bocznych ławkach zasiadli chłopcy ze swemi cenzurami. Chorągiew Collegium, obwieszona orderami, o barwach Oratoryanów, niebieskich i żółtych, nieśli starsi uczniowie i ustawili przy estradzie, na której zabrali miejsca dygnitarze świeccy, oraz ojcowie — profesorowie.

Przewodniczył stary literat i mówca znakomity, p. *Lamy*; miał mowę, krótką a treściwą, w której podnosił zasługi collegium w *Juilly*. Wspominał nazwiska wielkich i sławnych ludzi, dawnych wychowawców tego zakładu, począwszy od *Monteskiusza*; wychwalał z wielkim zapalem system nauki i całego wychowania oraz tę niesłychaną

umiejętność księży Oratoryanów w wyrabianiu silnych charakterów u powierzonych im wychowawców.

Po licznych oklaskach ojciec przełożony odpowiedział kilka słów na podziękowanie panu *Lamy*, poczem grała muzyka pod przewodnictwem pana *Fumé*, którego długie kędziory chwiały się w takt batuty, ku wielkiej uciechu uczniów, robiących o nim złośliwe uwagi. Wreszcie jeden z profesorów wywoływał nazwiska najpilniejszych uczniów. Każdy z tych wywoływanych zbliżał się do estrady i odbierał z rąk księdza lub dygnitarza wieniec i książkę, niektórzy nieśli owe nagrody wśród publiczności do ojca, matki, lub krewnych. Złote wieńce dawano za dobre sprawowanie, zielone za wzorową naukę. *Antolek* i *Staś* mieli mnóstwo nagród i wieńców, *Antolek* był 16-cie razy wywoływany, *Staś* 14-cie.

Profesor przyszedł nam winszować, że nasi synowie należą do najlepszych uczniów zakładu. *Antonina* była naturalnie z nami, poczcziwa kobieta cieszyła się z powodzenia swych wychowawców i pomagała nieść ciężkie tomy dzieł najrozmaitszych doskonale zastosowanych do wieku chłopców naszych.

Na zakończenie uroczystości młody chłopiec, laureat konserwatorium paryskiego, odegrał śliczny utwór na skrzypcach, poczem wyszliśmy tłumnie z gorącej sali orzeźwić się w parku wodą ze źródła *St. Genowefy*, które od lat 300 tryska z pod ziemi i ma podobno uzdrawiające właściwości. Usiadłam na ławeczce pod ogromnym kasztanem, nazwanym *Mallebranche*, bo był ręką sławnego filozofa posadzony, i podczas kiedy moi synowie rozbiegli się po parku żegnać kolegów, rozmyślałam o tem, jak szczęśliwe są dzieci tutejsze.

Trąbka omnibusowa wyrwała mnie z zadumy. Omnibusy stały już przed bramą i zabrały gości, chłopców i kufry, oraz stosy książek i wieńców na stację *Daumartin*, gdzie znów specjalny pociąg odwiózł nas do *Paryża*. W czasie tej półgodzinnej jazdy chłopcy oglądali swoje nagrody z wielkim ukontentowaniem i bawili się wkładaniem na głowy wiotkich, papierowych wieńców, w których przypominali głowy rzymskich cesarzy. *Antolek* twierdził, że gdyby nie dwóch braci *Brazylijczyków* bardzo zdolnych i pilnych, miałby jeszcze więcej nagród i narzekał na tych młodych *Amfilifia* i *Pamfila Carvalho* za to, że przez ocean przepłynęli zagrabić mu 17-stą nagrodę; tak to powodzenie psuje nie tylko ludzi, ale i dzieci, nienasyconemi ich czyniąc.

W dzień wyjazdu z *Hong-Kongu* byłam z mamą pożegnać się z księdzem *P.* Zanimyśmy mu na pamiątkę „*Pana Tadeusza*,” bo z rozmowy dowiedziała się mamusia, że żadnych polskich książek z sobą nie ma. Z wielkiem wzruszeniem i wdzięcznością odebrał mały tomik i serdeczne składając podziękowania, błogosławił nas na dalszą podróż, obiecując na naszą intencję codziennie przy mszy św. modlić się.

Na pokładzie statku „Laos”

Nie przypuszczałam, oglądając kilka miesięcy temu pomiędzy ilustracjami „*Wieczorów Rodzinnych*,” wspaniałe urządzone wnętrze statku *Laos*, że kiedyś będę siedziała na jego pokładzie, podobnie do tych malowanych pań z ilustracji. A oto od dwóch dni kołysze mnie on na fali i to kołysze bardzo silnie, bo wiatr dmie nie na żarty, co wcale nie jest przyjemne, zwłaszcza dla tych, którzy nie są na papierze malowani, ale muszą własną zręcznością utrzymać się na jego chwiejącym gruncie. Cieszę się także i dumna jestem, że ustępy z mego dzienniczka, przejrane przez kochaną ciocię *Tolę*, czytane są przez moich rówieśników. Tuszę sobie, że ich bardzo nie nudzą.

W salonie *Laosu* stoi doskonały fortepian, uprzyjemniający nam podróż. Gram z mamusią na cztery ręce, albo sama, a raz nawet zdołałam uprosić mamusię, aby śpiewała. Ach! jak to było miło! Wśród ciszy wieczoru, plu-

sku bałwanów, szumu morza, rozbrzmiewały słowa starej francuskiej piosenki, mojej ulubionej w rytmie menueta:

„Vous dansez marquise,
D'un pied si léger”...

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Pies morski i pies lądowy. Berliński Ogród Zoologiczny posiada obecnie psa morskiego, żyjącego w wielkiej przyjaźni z psem lądowym. Skoro tylko pierwszy wynurzy się ze swego basenu, zaraz zbliża się do drugiego i odtąd już oba te zwierzęta zabawiają się, a nawet pożywiają razem, ku uciesze licznych widzów.

Pies morski należy do gatunku fok, żyjących u północnych brzegów oceanu Wielkiego i Atlantyckiego, a więc blisko lądów tak Ameryki jak Europy. Wydłużone, owalne ciało jego dochodzi długości 2 m. i pokryte jest bardzo krótkim, gęstym, gładkim włosiem, koloru żółtawo siwego z brunatnymi centkami na grzbiecie. Okrągłą, stosunkowo małą głowę jego, zakończya pysk o grubej, przedzielojnej wardze wierzchniej, ozdobionej długimi wąsami.

Śliczne są oczy jego: duże, ciemnej barwy. Jako zwierzę wodne ma ruchy na lądzie bardzo utrudnione; krótkie jego przednie nóżki, które są raczej pletwami, nie oddają mu usług przy chodzeniu, więc tylko kureząc i naprzemian prostując grzbiet, czołga się po ziemi, by posunąć się naprzód.

To też wychodzi na ląd jedynie dla snu i wygrzania się na słońcu, oraz karmienia swych młodych. Ale za to żwawym bywa w wodzie, pływa z szybkością strzały zarówno na powierzchni, jak w głębi, ponieważ dłuższy czas obejść się może bez zaczerpnięcia w płuca świeżego powietrza.

Mięso psa morskiego, jego tłuszcz i skóra są niezmiernie pożyteczne dla Eskimosów, którzy bez tego zwierzęcia nie mogliby wprost istnieć w swych lodowatych krainach.

Deszcz mrówek. Oddawna znane były dziwne zjawiska deszczów t. zw. „krwawych”, deszczów pyłku kwiatowego, piasku, szczątków roślin, różnych drobnoustrojów, nawet owadów i żab.

W dniu 16 lipca r. b. jak podaje Wszechświat, p. A. de Longrée, członek francuskiego Towarzystwa Astronomicznego był w Brukselli świadkiem „deszczu mrówek”. Dzwonne to zjawisko miało miejsce w okresie bardzo gorącym i burzliwym. Dnia tego niebo było spokojne i słoneczne. O godzinie czwartej po południu spadł deszcz prawdziwy bardzo drobnych, czarnych mrówek skrzydlatych, pomieszanych z większymi osobnikami bezskrzydłymi, długości na 5 do 7 mm. Moc nieprzeliczona owadów tych mrowiła się na chodnikach i ulicach; osobniki skrzydlate co chwila próbowały zrywać się do lotu i masami całymi

pokrywały przechodniów. Ruchy mrówek były bardzo niespokojne i zdradzały bezcelowość i oglupienie. Zjawisko to trwało ze dwie godziny.

W ciągu całego miesiąca żadne burze nie przeciągały nad Brukselą; przyczyny zjawiska dotąd nie wyjaśnione.

ARYTMOGRYF.

Ułożyła Cisza Wieczorna dla Hładysza

- 1) 1, 9, 6, 11, 9, 19 19, 9. Bogini śmierci u Słowian.
- 2) 2, 42, 1, 3, 19. Jezioro w Rosji europejskiej.
- 3) 3, 6, 11, 3, 6, 16, 1. Twierdza w Armenii.
- 4) 4, 9, 19, 2, 7, 37, 2. Poeta polski z XVI wieku.
- 5) 5, 19, 2, 14, 3, 7, 37, 9, 2. Nazwisko dwóch uczonych [przyrodników pols.
- 6) 3, 1, 9, 19, 18, 3, 42. Imię mężkie.
- 7) 6, 9, 1, 11, 3, 5. Faraon egipski.
- 8) 7, 2, 3, 7, 25, 16, 7, 2, 19, 3, 37. Miejsce lecznicze w Król. [pols.
- 9) 3, 12, 3, 6, 3, 5, 10. Szczyt Himalajów.
- 10) 2, 6, 42, 9, 19, 14, 50, 9. Królestwo w Europie.
- 11) 8, 6, 11, 3, 14, 38, 12, 2, 10. Poemat Z. Krasińskiego.
- 12) 9, 15, 9, 1, 3, 1, 19, 16, 19. Jeden z bohaterów wojny [Trojańskiej.
- 13) 10, 9, 10, 16, 1, 2, 6. Nieżyjący historyk i geograf pols.
- 14) 6, 16, 5, 5, 2, 19, 2. Muzyk i kompozytor włoski.
- 15) 11, 9, 42, 3, 5, 37, 2. Znakomity poeta polski.
- 16) 9, 19, 10, 12, 3, 6, 8, 2, 9. Miasto w Belgii.
- 17) 4, 16, 12, 2, 5, 11. Bóżeł rzymski.
- 18) 12, 9, 6, 19, 3, 35, 7, 11, 50, 37. Przydomek jednego [z królów polskich.
- 19) 5, 2, 3, 1, 2, 6, 9, 14, 11, 37, 2. Współczesny malarz pols.
- 20) 3, 11, 16, 8. Bajkopisarz grecki.
- 21) 6, 3, 50. Poeta polski z XVI wieku.
- 22) 7, 3, 17, 9, 42, 16, 19, 2, 9. Wyspa na morzu Śródziem.
- 23) 3, 5, 37, 2, 1, 16, 5. Mieszkaniec północy.

Zastąpić liczby literami, aby pierwsze litery utworzonych wyrazów złożyły znany aforyzm A. Mickiewicza.

ROZWIĄZANIA DO Nru 43-go.

Łamigłówki kropkowanej:

Ot, i jesień gospodarna
Już się zbliża uroczyscie:
Poskładała złote ziarna,
Pozłociła drzewom liście.

Jeszcze chwilką, a za chwilę,
Wnet silniejszy wicher wionie,
Spędzi śniegu tyle, tyle...
Że aż ziemia w nim utonie.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Król. Edward wstrzymuje koronację Jana Cantego (rycina).—Wakacje w Warszawie, pogadanka o architekturze, p. Walerye Marrené-Morzkowską. — Potępiony. — Moja kuzynka Stasia (z ryc.). — Dzienniczek Wandzi. — Ze świata: Pies morski lądowy (z ryc.) — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Sowa rybakiem, wiersz przez M. D. (z ryc.) — Nikt mnie nie zna, komedycja w jedynym akcie. — Dzieci w podróży. — Łamigłówki i rozwiązania. Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Hrabina, powieść przez Teresę Jadwigę.

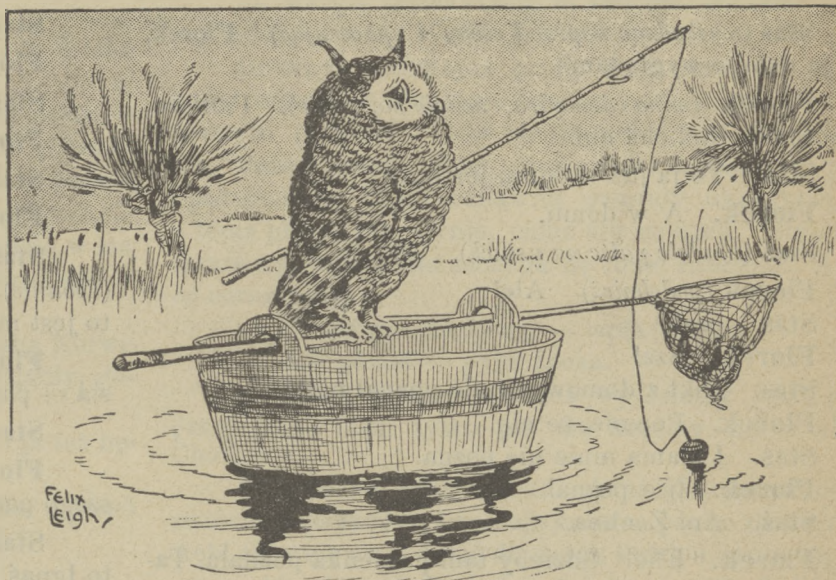
Sowa rybakiem.

Myszki jakoś pomądrzały,
Sowie schwytać się nie dały,
I biedaczka już od wczora,
Tak jest głodna, że aż chora.
Lecz od czego mądra głowa,
Z której w świecie słynie sowa.
Bo gdy siadła, podumała —
Hm-hm, naraz zawołała:
Wiem już, wiem, co teraz zrobię,
Z wody ryb nałowię sobie,
Sposób życia mego zmienię
I w rybaka się zamienię.

Jako rzekła, tak zrobiła,
Dużo rybek nałowiła,
Miała zaraz na śniadanie
Przewyborne z rybek danie.

Więc szczęśliwa rzeknie sobie:
Głowę mam nie ku ozdobie;
Znajdzie ten, kto mądrze szuka,
W tem jest cała życia sztuka.

M. D.



NIKT MNIE NIE ZNA.

Komedyjka w 1-ym akcie.

OSOBY:

Pani Przemyska.

Zosia 12 lat. Staś 13 lat (jej dzieci).

Florek, chłopak kredensowy.

Tekla, służąca.

(Rzecz dzieje się na wsi, w domu p. Przemyskiej. Scena przedstawia salonik. Drzwi jedno lub dwa. Okno).

Scena I.

(Pani Przemyska siedzi przy stole, zajęta robotą. Wbiega Zosia).

Zosia. Ach mamusiu, mamusiu! jaki ten Staś niedobry!

P. Przemyska. Jaki Staś? Co ty mówisz, Zosiu?

Zosia. Nasz Staś mamusiu! Nie rozumiem, jak on może to robić!

P. Przemyska. Ale cóż takiego? Wytłumacz mi, co mówisz o Stasiu. Czy pisał do ciebie?

Zosia. Ale gdzież tam! Przyjechał!

Dodatek do N-ru 45 — 1901 r.

P. Przemyska (zrywając się z krzesła). Przyjechał! Doprawdy? Gdzież jest, czemu nie przyjdzie przywitać się?

Zosia. Otóż to, widzi mama: przyjechał, pół roku nas nie widział i zamiast się przywitać, coprędzej już o figlach myśli!

P. Przemyska. O jakich figlach, Zosiu, mów porządnie, bo ja nic nie rozumiem.

Zosia. Widzi mamusia, Staś przyjechał naprawdę. Widocznie wcześniej skończyły się egzamina, czy też może przeszedł bez nich. Przyjechał ze stacyi najętymi końmi, ale zamiast spieszyć do domu, żeby nas prędzej zobaczyć, zatrzymał się za ogrodem, wywołał Florka, który tam rwał maliny, i od godziny już uczy go niby jakiejś roli, przebiera się i ma się tu zjawić jako obcy chłopiec, żeby nam figla spletać.

P. Przemyska. Skądże ty to wiesz?

Zosia. Siostra Florka, Marysia przypadkiem posłyszała i zobaczyła to wszystko. Zaraz przybiegła mnie powiedzieć. Czyż to poczcziwie z jego strony, mamusiu.

P. Przemyska. Nie poczcziwie, Zochno, bardzo nie poczcziwie myśleć więcej o figlach i zabawie, niż o powitanu matki i siostry, tak dawno niewidzianych. Ale wiesz co, musimy go ukarać i to dobrze ukarać!

Zosia (*wakując się*). Eh, mamusi...

P. Przemyska. Nie bój się, nic mu się złego nie stanie. Będzie to tylko figiel za figiel. Doskonała myśl! Ty się także przebierzesz za chłopca i będziesz... ale cicho, ktoś przyjechał (*wygląda przez okno*). To oni. Chodź prędzej, tam ci opowiem. (*wychodzą*).

Scena II.

(*Staś i Florek wchodzą. Obaj przebrani, Staś w peruce, z przyprawionymi małymi wąsami, Florek z niewielkimi faworytami*).

Staś (*wychodząc naprzód sceny i spacerując*). Florek, czy ja dobrze wyglądam?

Florek (*mina niemądra, śmieje się często*). Paniczu, wybornie! Chi! chi! chi!

Staś. To ja już w domu jestem?

Florek. A w domu.

Staś (*kladzie palec na ustach*). Ale.

Florek (*podobnie*). Ale!

Staś. Sza!

Florek. Sza!

Staś. Nikt z domowych nie poznał nas!

Florek. Pewnie, że nie.

Staś. I mama mnie nie pozna.

Florek. Nie pozna!

Staś. Ani Zochna.

Florek. Ehe! Gdzieby tam panienska poznała. Takie czupiradio! (*śmieje się*).

Staś. Głupiś! Cóż ty mi wymyślasz!

Florek. Nie... to ja... tylko tak...

Staś. No, no, ale że nam tak się udało! Jan pomagał mi zsiadać z bryczki i nie poznał. Marysia tam także kręciła się i nawet ciebie nie poznała; a zdaje mi się, że mama wyglądała przez okno i cofnęła się, zobaczwszy, że ktoś obcy przyjechał. Kapitalną myśl miałem! To świetny figiel! Będę miał, co kolegom opowiadać. Zaraz do Ignasia napiszę. A jeszcze z szykiem, z lokajem przyjechałem! Ale słuchajno Florek, jeżeli ty powiesz komu? (*grozi*).

Florek. O, czy ja taki głupi?

Staś. A może Marysi?

Florek. A, nie!

Staś. Któż ja jestem?

Florek. Nasz panicz.

Staś. Panicz! Także powiedział! Pewnie, że panicz. Ale jaki? jak się nazywa?

Florek. To *dopiru!* panicz, to panicz. Pan Stanisław Przemyski.

Staś. Kto gawronie?

Florek. Ach ni, prawda, Stanisław Rawski.

Staś. Stanisław? (*chwytając go za ucho*).

Florek. Ignacy, Ignacy, paniczu!

Staś. Proszę cię więc, pamiętaj.

Florek (*chwytając się za ucho*). Już, już tak będzie, jak panicz każe.

Staś. Pamiętaj! Chociażby cię kto prosił, gniewał

się, groził, bił nawet, chociażbym ja sam kazał, nie powiesz, kto ja jestem.

Florek. Wolę się zakrzuszyć; wolę się...

Staś (*przerzywa*). No, ostatecznie, ja ci mówię, ty wiesz, że strzelać umiem. Stryj obiecał mi na te wakacje darować strzelbę; Jak powiesz, że ja jestem — ja, to ja cię zastrzelę.

Florek. Oj, paniczu, nie *powim*. A paniczu, a ja, czy ja?

Staś. Jakto, czyja?

Florek (*śmiejąc się*). Co też panicz plecie!

Staś (*w złości*). Plotę, ja plotę?

Florek (*śmiejąc się*). No, a już ci.

Staś. Chcesz ty dziś co oberwać?

Florek. Oj, nie!

Staś. To czegoż chcesz?

Florek. Ja, czy ja, czy nie ja?

Staś. Desperacya! Już z dziesięć razy mówiłem, (*dobitnie*). Będziesz służącym panicza Ignasia Rawskiego, to jest moim, ale nie moim Stasia; tylko moim — Ignasia.

Florek (*zamyślony*). Moim — Stasia; moim — Ignasia — paniczu, nie *rozumim*.

Staś. Okropność. Wiesz, kto ja jestem?

Florek. *Wim* — panicz Ignas Rawski, kolega naszego panicza.

Staś (*ze złością*). Jakiego „naszego?” Twój panicz to Ignas Rawski.

Florek. Ach, tak! No, to panicza Stasia Przemyskiego, syn państwa Rawskich z Bystrówki. Jedziemy do wuja paniczowego na *wakancye*.

Staś (*zadowolony*). Doskonale!

Florek (*z tryumfującą miną*). A co, widzi panicz!

Staś. No, więc słuchaj! Ty jesteś służącym moim, Ignasia Rawskiego; dajmy na to — Wickiem. Nie; lepiej tak samo, Florkiem, będę pewniejszy, że się nie omylisz. Nazwij się więc Florkiem.

Florek. Cóż panicz kpi, czy co? Od kiedy zapamiętam, zawsze byłem Florkiem; na cóż mam się inaczej nazywać?

Staś. Gadajże z nim! Więc dobrze, jesteś Florkiem, ale tamtym Florkiem, służącym Ignasia, a nie tym tutejszym. Rozumiesz?

Florek. *Rozumim, rozumim*. Mądrej głowie dość na słowie!

Staś. Słuchaj, czy wszystko dobrze? (*obraca się przed nim*). Mina, co? Szykowna?

Florek. Jakby jaki *aligant* z miasta!

Staś. A wąsy? (*podkręca je*). Bo Ignas ma już pewnie małe wąsy.

Florek. Jakby rodzone panicza!

Staś. A peruka?

Florek. Jak przyrośnięta.

(*d. c. n.*)

DZIECI W PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg)

Jest w lesie, ale daleko od skraju śliczne jezioro, otoczone sosnowymi zaroślami, gdzie bywa mnóstwo rydłów, tylko, że mamy nie lubią tam chodzić, bo trzeba iść przez mokradła, zanim się dojdzie do jeziora.

Adaś więc proponuje, ażeby dziś się tam wyprowadzić, korzystając z tego, że oddawna pogoda i błoto musiało podeschnąć.

— Niech tylko paniczki nie zabłądzą, bo to daleko od brzegu — ostrzega Józef, stangret.

— Jaby tu miał zbłądzić? — oburza się Adaś. — Ja tu znam każde drzewo, każdą dróżkę... Od polanki, gdzie stara sosna z krzyżem, trzeba się wziąć na prawo, a potem już ciągle prosto...

— Tak się to zdaje, ale jak człowiek wejdzie w las, to go tak czasem zamami, że sam ani wie gdzie jest — przekłada Józef.

Lecz mimo jego ostrzeżeń i upomnień pana Korwina, dzieci ruszają do jeziora. A kiedy już wysiadły, Józef woła:

— A niech paniczki odzywają się często, i ja też będę hukat...

Gromadka weszła w gęstwinę — i znikła z przed oczu Józefa, który po niedługiej chwili zawołał:

— Hop! hop!

— Hop! hop! — odpowiedziało mu z lasu.

Minęli już starą sosnę z krzyżem — i mieli się na prawo a potem prosto, według wskazówek Adasia. Zdaje się, że to tak łatwo, nieprawdaż? Ale uszli już spory kawałek, a od drogi, którą idą, odzepia się coraz nowa dróżka i niknie między krzakami, a nareszcie i ta główna droga rozdziela się na trzy, którą z nich iść? Zdania zaczynają być podzielone. Adaś utrzymuje, że trzeba iść ciągle prosto, to jest środkową drogą, — Tadzio dowodzi, że należy skręcić na lewo.

Po długich wahaniach staje na tem, że pójdą prosto: wielkie oburzenie chłopców wywołuje nieśmiała propozycja Janinki:

— Jeżeli nie jesteście pewni drogi, to możeby lepiej wrócić?

— Ta Janka zawsze tchórz! — wołają chłopcy.

I zapuszczają się dalej w las, a w zapale zapominają o nawoływaniu Józefa. Ale po pewnym czasie droga urywa się — i widać naokoło tylko gęstwinę: dalszej drogi, jeziora, ani śladu! Trzeba wracać nazad. Ba! łatwo to powiedzieć, ale w powrocie spotykają takie mnóstwo rozchodzących się dróg, że wcale nie są już pewni, czy wracają tą, którą przysli...

Widząc, że się omylili, znów zawracają — to na prawo, to na lewo: — zniecierpliwieni szamocą się w labiryncie leśnym. Chłopcy zaczynają się naradzać, każdy jest innego zdania; sprzecają się zawzięcie, a tu czas upływa, i co gorsza, zmęczenie i głód zaczynają się dawać się we znaki. Szczególnie Janek stracił zupełnie rezon, Helenka jak zwykle kiedy głodna i zmęczona, sprzecza się ze wszystkimi. Przypominają sobie nagle Józefa.

— Hop! hop! hop! hop! — dobywa co siłą głodna cała gromadka, ale nie słycać wcale odpowiedzi. Czy tak daleko odeszli, czy wiatr w przeciwną stronę wieje, dość, że nie słycać. Wrześniowy dzień niedługi, i słońce zaczyna się już zniżać, a tu ani drogi, ani jeziora, ani Józefa z końmi...

Nagle Janek siada na ziemi i uderza w wielki płacz.

— Czego becysz? — woła w największej złości Adaś.

— Bo mi się jeść chce, i boję się, że nas w nocy wilki zje... e... e... dż! — zawodzi Janek.

— Mazgaj jesteś razem ze swojemi wilkami! — krzyczy Adaś.

Główny winowajca czuje, że zawinił, ale poczucie winy rozpala w nim złość zamiast pokory, która jedynie winnym przystoi. Lecz nic nie pomagają gniewy Adasia. Janek płacze dalej; za jego przykładem idą panny Spokojnickie, które oddawna ocierały ukradkiem łzy, a teraz płaczą już jawnie, cicho ale rzewnie. Strach jest zaraźliwy, wszystkim zaczyna się robić straszno... A słońce coraz niżej...

— Chodźmy! chodźmy! — woła Tadzio.

— Ale gdzie? — pyta Janka.

— Przed siebie, przecież wyjdziemy jakoś z tego przekłętogo lasu, tylko już nie kręmy się w kółko... Chodźmy!

I bierze za rękę Janka. Adaś porywa młodszą ze swoich siostrzyczek, i ruszają znowu, prosto przed siebie. Ach! żeby się choć dobić do drogi, którą z lasu wożą drzewo... Ale nie widać nigdzie tej drogi... A słońce coraz niżej... coraz niżej...

— Co tam pomyślał mamusie i babcie? — odzywa się nagle Janka.

I rozczulona własnymi słowami, zaczyna też płakać. Oj! ile!...

V.

W którym wszyscy są zmartwieni.

W Korwinówce tymczasem, gdy nadeszła pora obiadu, ciocia babcia zaczęła być niezadowolona, że dzieci nie zastosowały się do jej życzenia, i że się spóźniają. Kazała nie czekając na nich, podawać obiad — wszystko było jeszcze jako tako, dopóki nie zaczęło się ściemniać. Lecz gdy obiad się skończył, a dzieci nie było widać, niepokój zaczął ogarniać wszystkich. Tatusiowie źli na siebie, że pozwolili na tę wyprawę, wychodząc co chwila przed dom wyjrzeć, czy dzieci nie jadą. Babcie, mamy, stryjenka coraz bardziej niespokojne, przymuszają się do rozmowy z gośćmi, którzy widząc, że są zbyt cni, przyspieszają swój wyjazd. Już ósma, ciemno zupełnie, dzieci nie widać.

— Trzeba będzie posłać konnego w stronę lasu — mówi pan Korwin — może im się co przytrafiło, może się wóz popsuł...

Stanisław prosi na herbatę, ale nikt nie ma ochoty do jedzenia, wszyscy co chwila podchodzą do okien, wyglądają i nasłuchują...

Pan Korwin naradza się z panem Józefowiczem, rządcą od dawnych lat u cioci-babci, i postanawiają wyprowadzić kogoś roztropnego „po języka,” gdy wchodzi Ja-

siek, chłopiec kredensowy i z wielce przerażoną miną wywołuje pana Józefowicza, który wraca po chwili.

— Leśnik przysłał chłopca z wiadomością, że Józef do tej pory stoi pod lasem z końmi, bo dzieci nie powróciły! Leśnik poszedł z dwoma chłopcami w las, na poszukiwania, a trzeciego przysłał tu z prośbą o ludzi do pomocy...

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Nie mam barwy ni woni, jednak w żadnej porze,
Człowiek beże mnie obejść się nie może.
Lecz tam gdzie z jego niezgodnie rachubą,
Jest mnie zbyt wiele, staje się dlań zgubą.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

ul. Romulus.

Pierwszy rząd oraz pierwsze litery
złożą mają nazwisko bohatera
z powieści Sienkiewicza. rząd 2) Prorok
izraelski. 3) Część Karpat. 4) Założyciel
Gniezna. 5) Dopływ Dunaju. 6) Przyimek.
7) Spółgłoska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go.

Wyrazów z dodaniem sylaby: To - pory. Ja - gody.

Zadania konikowego.

Złapał kozak tatarzyna,
A tatarzyn za łeb trzyma.

Skrzynka do listów.

Maryi Izabeli. Nadesłany obrazek do druku się nie nadaje.

Dobre rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali:

Worotka i Izydorek ze Wspólnej, Lato i Jesień, Silny Uczeń, Dziunia i Henryś, Dzieci z Kowna, Bolek G., Rakiet, Tennis i Krokiet, Srebrny Soból, Dziewanna i Janina Berkanówna.

Na liczne zapytania odpowiadamy, że premium na rok bieżący „W krainie tygrysów” wkrótce roześlemy wszystkim prenumeratorom naszym.

Marudka z nad Rastawicy przyznaje się do lenistwa, ale nie określa bliżej, w czym się jej lenistwo głównie przejawia. Że nie w pisaniu to ja ręczę, bo wśród wielu listów, które otrzymuję, nie zawsze spotykam tak porządnie i starannie pisane, ma się rozumieć względnie do wieku. Wielu naszym prenumeratorom przytrafia się, że gubią oddzielne numery, które podziwiają się „nie wiadomo gdzie.” Redakcja tylko w miarę możliwości uwzględni te prośby i wcale takich strat nie pochwala; tym razem posłano ci zagubione dodatki. Współczuję serdecznie w trosce o chorego brata, Bogu dzięki, że już do sił przychodzi.

Jakże ci podziękować droga Łochozwianko, za twe miłe powitanie i obietnicę, że i teraz i za lat kilka zawsze z największą przyjemnością pisywać do mnie będziesz! Jesteś pocziwiał, miłą i cieszę się, że cię mam zapisaną na liście moich serdecznych przyjaciół. Słyszałam już o śmierci młodzianki H. B. i rozumiem, jaki to straszny cios dla jej rodziny i znajomych.

Nie dziwię się, że po tak długich wakacjach, chętnie się do

pracy zabierasz, tembardziej, że warunki się nie zmieniły, p. Marya została nadal i Stefcia także. Za śliczny bukiet dziękuję, niezapominajki doskonale zasuszone, bo zupełnie koloru nie straciły, schowałam je na pamiątkę, nie jako przypomnienie, bo nie potrzeba mi błękitnych kwiatów, by pamiętać o tobie.

Halce z nad Teterowa. Zapytuję siebie nieraz czem mogłam zasłużyć na tyle dowodów życzliwości z waszej strony? Ot i ty zajmujący i ujmujący swój list zaczynasz od tego, że z niecierpliwością oczekiwałam mego powrotu. Jaka szkoda, że byłam daleko, gdyś zwiedzała Warszawę, niepoznaną, byłabym zdaleka krążyła około ciebie by dobrze się przyjrzeć mojej kochanej korespondentce z Teterowa, gdy z zajęciem i podziwem oglądała pomniki i osobliwości naszego grodu. Szkoda, że „Wakacje w Warszawie” które czytasz z takim zacięciem, były wówczas ledwie rozpoczęte, przy zwiedzaniu mogłabyś stamtąd zaczerpnąć niejedną ciekawą wskazówkę. Koszulka, byle dobrze uszyta, może otrzymać nagrodę, bo nie tylko ilość, lecz głównie staranność roboty mamy na względzie przy sążeniu.

Potrójny listek leży przede mną, myślicie może, iż mówię o listku koniczyzny, lub innej roślinie, bynajmniej. Odczytałam przed chwilą zapisaną ćwiartkę od trzech siostrzyczek, które chcą się zemną zapoznać. Witam was po raz pierwszy na szpaltach mojej skrzynki: Polny Kwiatku, Błada Różyczko i Figlarko, i na samym wstępie zapewniam, że żaden z waszych listów nie znudził mnie, wszystkie trzy z równą ciekawością przeczytałam. Wielkie to szczęście mieć tak dobrą nauczycielkę, która poza obrębem lekcji, tyle ciekawych rzeczy wam opowiada, rzecz naturalna, że przywiązałyście się do niej prędko. Polecam się waszej pamięci i proszę o dotrzymanie obietnicy częstego pisywania.

Szaremu Ptaszciu! Odpowiedz na twój list skreślił na moją prośbę uczony nasz botanik. Podaję ją tu dosłownie. „Dobrą ziemię roślinną można zrobić mieszając z sobą: Czarną ziemię z lasu, inspektową, której można dostać i w mieście u ogrodników, ziemię z kretowin na łąkach i zwierchnią gliniastą, na uprawie będącej ziemię ogrodową. Do tego dodaję się czarnego piasku $\frac{1}{5}$ część dla roślin liściowych i $\frac{1}{4}$ dla palm i im podobnych. Ziemia taka musi się odleżeć na podwórzu, pod dachem i być dobrze zmieszana. Azalie, kamelie i im podobne potrzebują koniecznie ziemi wrzosowej, zbieranej z pod wrzosieni w piaszczysto spróchnionych lasach, wraz z napół przetrwonionymi korzonkami. Wogóle wskazać jaką ziemię dać roślinie, samej rośliny nie widząc — trudno, ale w każdym razie na dno doniczki, trzeba na $\frac{1}{3}$ jej wysokości nasypać skorupki, kamyków lub kawałków węgla drzewnego. To uczyni ziemię przewiewną i łatwiej wysychającą. Podlewaj tylko wtedy gdy ziemia wyschnie dostatecznie, czego z teorii nauczyć się bardzo trudno. Życzę cierpliwości i pilnego przyglądania się roślinom, a przy zamiłowaniu wyniki powinni być dobre, rośliny zdrowe i piękne.

E. Jankowski.

Dziękuję bardzo za przysłane mi ładne kartki: Braciszkwowi Rybitwie, Małemu Tolusiowi, Irence Maćkow., i wszystkich was pozdrawiam serdecznie.

Wasza Jaskółka.

KALENDARZE NA ROK 1902.

nadesłane do redakcji „Wieczorów.”

Gospodarz, kalendarz dla rodzin polskich ul. M. Brzeziński.
cena 25 k.

Na pogotowie Ratunkowe. kal. Informacyjno-encyklopedyczny. W oprawie cena 1 r. 20 k.

NAJWIĘKSZY WYBÓR

Ubrań dziecięcych

W MAGAZYNIE

JANINY

w Warszawie Marszałkowska Nr. 151.